

Nauka koordynowana

Tak modne obecnie i szeroko lansowane hasło koordynacji szczególnie chyba aktualne jest w odniesieniu do nauki, do szkół wyższych i instytutów naukowych. Dlaczego właśnie tam? Ano dlatego, że w tej dziedzinie istnieje szczególne rozproszenie środków, a jednocześnie nakłady np. na aparaturę naukową są bardzo wysokie; sama zaś aparatura jest często unikalna, przeto powierzenie jej kilku osobom jest po prostu marnotrawstwem. Marnotrawstwem w sytuacji, gdy inne zespoły ludzi dobijają się o tę samą aparaturę bezskutecznie, a ta nabyta stoi czasami niewykorzystywana. Wreszcie również sprawą niemałej wagi są prace naukowe, które by — poza walorami naukowymi — zaspokajały jednocześnie konkretne i aktualne potrzeby regionu wielkopolskiego, pomagały w jego gospodarczym rozwoju. Taki bezpośredni związek nauki z praktyką nie jest na tyle duży jak mógłby być.

Przed paru laty analizowano w Poznaniu zagadnienie współdziałania 8 poznańskich wyższych uczelni i około 40 instytutów PAN, resortów bądź też innych placówek naukowych, jakie w Wielkopolsce mają swoje siedziby. Wyniki tej analizy nie były budujące. Okazało się, że o współdziałaniu trudno w ogóle mówić. Po prostu każda placówka wykonuje swoje zadania nie troszcząc się o to, że może w innej robić coś podobnego lub że wspólnymi siłami specjalistów z kilku placówek (lecz o identycznej lub podobnej specjalności) można by dojść do pożądaných wyników szybciej, a może i taniej.

Najbardziej drastycznie wypadła w tej analizie kwestia wykorzystania

nia cennej aparatury naukowej, na przykład izotopowej. Spośród 9 tych kosztownych urządzeń (więcej wcale nie tak mało) będących w posiadaniu AM, UAM, WSR i PP nie wszystkie są najlepszej jakości, nie zawsze są kompletne czy też prawidłowo obciążone. Natomiast z reguły są bardzo zazdrośnie strzeżone przez pracowników tych katedr, którym je przydzielono. Nie przepisy regulują korzystanie z tej aparatury — lecz znajomości, dobre stosunki itp. A jak wiadomo, te sprawy nie zawsze układają się najlepiej, także w środowisku naukowym (niektórzy twierdzą, że szczególnie).

Podobnych przykładów można by przytoczyć wiele, ale nie o to chodzi. Chodzi głównie o przypomnienie zjawiska braku koordynacji poziomej prac, środków materialnych i planów badawczych instytucji naukowych pomiędzy sobą oraz konfrontacji planów perspektywicznych tych placówek z planami perspektywicznymi innych gałęzi gospodarki narodowej w województwie poznańskim. Przypomnijmy, że niecałe trzy lata temu na te tematy toczyła się na naszych łamach żywa dyskusja, w której zabrali głos niemal wszyscy kierownicy uczelni i instytutów naukowych z Poznania i Wielkopolski. Wyłoniła się niecierpiąca zwłoki potrzeba powołania ciała koordynującego poczynania całego środowiska naukowego. Z inicjatywy KW PZPR ciało takie powstało, w formie Kolegium Rektorskiego, które podjęło się następujących zadań:

▲ współdziałania w zakresie ustalenia planu perspektyw rozwoju poznańskiego środowiska naukowego oraz wspólnego opracowania realnych programów inwestycyjnych;

▲ koordynowania prac naukowo-badawczych;

▲ współpracy i wzajemnej pomocy uczelni i katedr w zakresie kształcenia kadr;

▲ pomocy w zakresie właściwego wykorzystania bazy materialowej;

▲ współdziałania w przedsięwzięciach dydaktyczno-wychowawczych.

Warto dodać, że inicjatywa poznańska nie miała precedensu w kraju, że więc była przedsięwzięciem pionierskim, wytyczającym nowe drogi nowoczesnej organizacji nauki.

Ale nie było to przedsięwzięcie łatwe. Aby móc cokolwiek przewidywać czy koordynować, trzeba było dorozić się rozeznania w istniejącej sytuacji. Chodziło tu przede wszystkim o przeprowadzenie ewidencji tematów prac prowadzonych czy aktualnie podejmowanych przez katedry i instytuty, dalej o przeprowadzenie ewidencji aparatury naukowo-badawczej wraz z rozeznaniem stanu jej obciążenia. Chodziło następnie o wytyczenie perspektywicznego planu rozwoju poznańskiego środowiska naukowego (wraz z programem inwestycyjnym, który by zapewnił warunki takiego rozwoju), tak by plan ten kształtował Poznań jako poważne centrum nauk rolniczych, nauk o budownictwie maszyn i silników, chemii i energetyki, opartych o syntezę chemiczną i przeróbkę energetyczną węgla

tygodnia

Nr 189

6. VI. 1965

Rok V

brunatnego. Taka perspektywa rozwoju poznańskiej nauki daje gwarancję wsparcia przez naukę gospodarki i przebudowy regionu wielkopolskiego. Oczywiście, te dziedziny nauki, które nie biorą w tych procesach bezpośredniego udziału (np. prawo, ekonomia, socjologia itp.) rozwijałyby się również, może tylko w tempie wolniejszym nieco niż tamte.

Nasze Kolegium Rektorskie na dobrą sprawę działa nie więcej niż dwa lata. Trudno byłoby od niego wymagać wielkich rzeczy, jest to przecież ciało raczej mało operatywne. Ale przy wsparciu Komisji Nauki KW partii, przy uruchomieniu uczelnianych rezerw zdołano i tak zrobić niemało. Przede wszystkim uczelnie sporządziły plany rozwoju perspektywicznego na najbliższe lata, a potem — po dyskusji — przeprowadziły korekty tych planów. Były też sprawy sporne, interesy poszczególnych uczelni nie były całkowicie zgodne. Zwyciężył jednakże interes środowiska naukowego jako całości, wynikający z przeświadczenia, iż stawiając żądania nierealne, narażamy się na całkowite ich odrzucenie, natomiast planując realnie w oparciu o nie dające się odeprzeć argumenty, mamy pełne szanse uzyskania dla Poznania takich środków, które zapewnią naszej nauce właściwy rozwój. I w tej dziedzinie Kolegium zrobiło najwięcej. Plany już są, wiadomo także jakie dziedziny nauki zostaną w pierwszej kolejności poddane procesom integracji. Już przystępuje się do organizacji Instytutu Nauk Społecznych, który obejmie m.in. takie nauki, jak: socjologia, filozofia, pedagogika, psychologia, i który prawdopodobnie gdzieś za rok stanie się faktem. Powołany zostanie Instytut Fizyki, który zjednoczy katedry fizyki różnych uczelni poznańskich. Gmach dla niego będzie budowany w tej jeszcze pięciolatce. Powstanie także — na identycznych zasadach — Instytut Chemii, dla którego, niestety, jeszcze nie ma bazy lokalowej i nie widać jej w najbliższej przyszłości.

Ewidencja prowadzonych prac naukowych została także przeprowadzona, oczywiście, tylko w głównych kierunkach, bez wdawania się w szczególności. Czekają ona teraz na analizę i wyprowadzenie wniosków. Także wstępnie przeprowadzono ewidencję aparatury naukowo-badawczej. Ale tu istnieje jeszcze sporo nieporozumień na temat, co to jest aparatura unikalna, możliwa do wykorzystania w całym środowisku. Tę sprawę trzeba będzie konsekwentnie prowadzić dalej, po czym zrobić krok następny — wysunąć wnioski co do bardziej efektywnego wykorzystania tej aparatury.

Jak więc widać, poznańscy uczeni szukają własnych dróg pracy zespołowej, zjednoczonej, bardziej efektywnej i nowoczesnej. Być może dadzą nauce polskiej model nauki skoordynowanej, dynamicznej i efektywnej, który będzie mógł być wzorem dla innych ośrodków.

Przemysław Bystrzycki

KSIĘGARZ

Trzyma w garści pak tego świata. Posiada nad egzemplarzem dzieła ostateczną władzę. Chce — sprzeda, nie chce — nie sprzeda. Jest prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem świata (choć pensję mógłby mieć większą), ponieważ nie oczekuje zwrotu owych tak wielkich dóbr. Dzierży też władzę nad pisarzem, którego los jest podzielony na segmenty jak ciało dżdżownicy. Zawisa od wydawcy, od cenzora, od krytyka, od czytelnika. Ale — stop! Nim trafi do odbiorcy, przejść musi przez owe dłonie ze światłem. Księgarz szczupły, wytrawny ręką sięga ku kolorowym grzbiotom, wyłuskuje: „To mogę panu polecić!” Kto wie jak często bywamy narażeni na owe konfrontacje. Zajmują nas, być może, akurat sprawy banalne, w tej samej tymczasem sekundzie wypełnia się nasz los na tamtych półkach bez naszego udziału, bez jakiegokolwiek wpływu z naszej strony. Dopiero tu można przekonać się jak człowiek zależy od człowieka.

To właściwie nie zawód w banalnym rozumieniu tego słowa. Są dzia-

Zbilut Sęk

Idea - CZŁOWIEK

Na co dzień i przy odświeżających okazjach mówimy nie raz o ludziach: zaangażowani, gospodarni, odpowiedzialni za sprawy ogółu. Albo inaczej — świadomi swojej społecznej roli. Czasem nie lubimy tych słów, uznając je za slogany. A to — rzeczywistość. Rodowód jej sięga pierwszych zmian XX-lecia, przejęcia środków produkcji w społeczne władanie. To był początek tworzenia nowych stosunków w międzyludzkiej, właściwych naszemu ustrojowi.

Znów górnolotnie powiedziane, a chodzi zwyczajnie o wzajemne oddziaływanie środowiska na jednostkę i jednostki na środowisko. Idzie o Ygreka, który pracuje, żyje w otoczeniu maszyn i współtowarzyszy, w kręgu problemów ekonomicznych i własnych zainteresowań, w gronie rodziny i sąsiadów. Jak działa ów Ygrek, jak kształtowany jest przez środowisko? Kim on jest, do czego dąży? Odpowiedzi na to szukajmy w rzekomych „sloganach”.

Przez dwadzieścia lat kształtujemy nowe zupełnie zasady współzycia środowisk. Ygrek pracuje już nie dla pana majstra, nie dla właściciela. Wie o tym — a wie to coraz lepiej — że pracuje dla wszystkich, czyli dla siebie. Taka jest podstawa naszych dzisiejszych wzajemnych kontaktów w środowisku. Ich idea, to stwierdzenie Karola Marksa, że „człowiek jest najwyższą istotą dla człowieka. Stąd kategoryczny nakaz obalenia wszelkich stosunków, w których człowiek jest istotą poniżoną, ujarzmioną, opuszczoną i pogardą godną”.

Przykład bezosobowego, uogólnionego Ygreka potwierdza te idee. Może im natomiast zaprzeczać konkretny przykład Jana Kowskiego. Nie wszędzie bowiem i nie we wszystkim wykształciliśmy do końca socjalistyczne treści i formy codziennego współzycia. Patrzymy więc uważnie na Kowskiego: w jakich on na przykład pracuje warunkach, co decyduje o dobrych lub złych stosunkach wśród zbiorowiska ludzkiego w zakładzie pracy?

Kowalski przestępuje po raz pierwszy progi fabryki. Jest nowy, nie zna się na niczym i nikogo nie zna. Będzie się czuł obco, jeśli „kadry każą mu z kartą obiegową przyjąć, wędrować samotnie po zakładzie, jeśli po prostu postawią go przy maszynie, narażając na ciekawość jego nowych współtowarzyszy pracy. Będzie się czuł mały, długo nie wykrzesze z siebie możliwości zawodowych, nie zdobędzie się na aktywność społeczną, zanim zżyje się z nową fabryką, pracą, środowiskiem. I odwrotnie — proces asymilacji i zaangażowania będzie przyspieszony, jeśli „nowy” na wstępie spotka się z życzliwością, serdeczną rozmową, jeśli prędko pozna swój kolektyw, historię fabryki, jej zadania, swoje prawa i obowiązki.

Kowalski zżywa się z otoczeniem. Nie obojętne będzie, jakie zostanie tu warunki pracy: urządzenia i pomieszczenie, organizacja pracy, produkcji, wyraźne określenie zakresu swojego działania i zespołu. Ważne dla niego będzie, jaka jest kultura współzycia grupy, w której znalazł

się, jaki jej poziom i autorytet. Dla nowej osobowości Kowskiego istotnym będzie stosunek do niego kolegów i zwierzchników, kryteria oceny jego przydatności zawodowej i społecznej, istotny będzie przyjęty w zakładzie sposób podziału korzyści za pracę — sprawiedliwe zasady opłacania, nagradzania i awansowania ludzi w przedsiębiorstwie.

Wszystkie te czynniki od początku decydują o tym, czy Kowalski poczuje się pełnoprawnym i przydatnym członkiem nowego zespołu, czy środowisko narzuci mu potrzebę przyjęcia właściwej postawy, zgodnej z indywidualnym i społecznym interesem.

Co to takiego — właściwa postawa Kowskiego?

Socjalistyczne stosunki między ludzkimi podnoszą ogół zatrudnionych do rangi współgospodarzy. To jest obiektywna prawda, leżąca u podstaw ekonomicznych i politycznych naszego ustroju. Idzie o to, by z prawdy tej uczynić powszechną rzeczywistość, by w każdym zakładzie tworzyć szeroką demokrację robotniczą, nie tylko w oficjalnej formie samorządów robotniczych i KSR, lecz także przez bezpośredni udział pracowników w zarządzaniu, w oddziaływaniu na losy swego zakładu. Codzienne formy tego zarządzania i oddziaływania to socjalistyczny stosunek do pracy i własności społecznej, demokratyczne zasady kierowania i współzycia w środowisku, to odpowiedzialność za kolektyw i kolektyw za jednostkę.

Naszym podstawowym celem jest dobro człowieka. Cel ten również tworzy CZŁOWIEK. Trzeba go więc widzieć w powszednim działaniu, znać cały spłot okoliczności pracy, różnorodność form współzycia ludzi w fabryce, w rodzinie, organizacjach do których należy — oto co kształtuje każdego dnia osobowość i postawę Kowskiego. Wyrabianie nowych stosunków międzyludzkich w przedsiębiorstwie, nie polega tylko na przywoływaniu do porządku zaniedbujących pracę, rodzinę, godzeniu poważnionych małżonków, kampanii o uśmiech i walce z pijactwem — jak się przyjęło widzieć w praktyce. To także spojrzenie na wszystkie zjawiska, z jakimi stykamy się codziennie i eliminowanie wszystkiego, co przeszkadza w pracy i prawidłowym współzyciu, co osłabia samopoczucie gospodarza u pracownika.

Uwagi te wysunięto na niedawnym plenum Komitetu Powiatowego PZPR w Ostrowie. Wszystkie uogólnienia znalazły tam odbicie w referacie i dyskusji. Aktyw partyjny powiatu już dawno uznał potrzebę takiej dyskusji, przygotowywał się więc długo do tego plenum. Wyssuwając pierwsze ogólne wnioski, zamierza wystąpić z nimi przed kierownictwem i załogami oświatowskich zakładów, by unocnić wszystkim rangę problemu. I choć przypadkowa może jest zbieżność terminu tego partyjnego plenum z wyborami, nie były przypadkowe temat i troska o prawidłowość układania się stosunków międzyludzkich. To po prostu powszedni dowód na prawdziwość i słuszność naszych niektórych „sloganów”.

nych związków. Nie mogę wymienić wszystkich, ani tych z obu księgarń przy ulicy Głogowskiej, ani owych sprzed PDT-u, bądź z Armii Czerwonej. Rozległa to geografia sentymentu.

Pan Czesław Żatubski jest bardzo wytrawnym znawcą swojego fachu. Znakomity organizator, chodząca uprzejmość, pojemna pamięć, co tu tak bardzo waży, no i te lata, wiele lat praktyki. Piszę tych kilka słów o nim, bo obok wielu innych, wart tego, że nie wiem czy nie weźmie mi tego za złe, ale w moim zawodzie trzeba trochę ryzykować. W nim, jak w wielu innych, znajduję zawsze oparcie w swoich peregrinacjach za pozycję dawno wyczerpaną.

Tych kilka przyjaznych słów chciałbym złożyć jemu i jego kołegom z okazji niedawnego święta książki. Od siebie i od ludzi mojego zawodu mieszkających w tym mieście. Bo powiedzcie sami czy człowiek, który trzyma wiązkę promieni w swoim ręku, nie godzien jest szczególnej admiracji? Nie każdy jest Szeuolą i nie każdy potrafi zdzierżyć rozżarzony węgiel na dłoni. Tylko wybrani.

Irena Frąckowiakowa

W rodzinie trzypokoleniowej

Socjologowie nazywają ją „rodziną wielką”, ponieważ w domowej symbiozie żyją dziadkowie, dzieci i wnuki. I piszę, że jest to typ rodziny zanikającej, nawet na wsi. Nowy styl życia, oparty o pracę zawodową wszystkich dorosłych członków rodziny i wczesną samodzielność młodzieży, o żłobki, przedszkola i szkoły ze świetlicami, o stołówki, miejskie pralnie i niedracie się skarpetki — zmniejsza do minimum funkcje wychowawczo-usługowe, które dawniej absorbowały domowników. Nie ma więc potrzeby, by kobiety obszywały, opierały i karmiły najbliższych, nie ma praktycznej potrzeby, żeby mamy i babcie żyły pod wspólnym dachem.

Czy zgadzamy się, czy nie z taką opinią socjologów — wiemy, że o wspólnym zamieszkaniu trzech pokoleń decyduje nie tylko utylitaryzm. Czasem chodzi o zaspokojenie potrzeb serca. Do naszej redakcji napisała starsza nauczycielka. Do niedawna mieszkała w mieście powiatowym, gdzie spędziła większość życia i gdzie, nawet po przejściu na emeryturę, udzielała prywatnych lekcji dzieciom dawnych uczniów, co pozwalało jej żyć we względnie dostatku. Potem zamężna córka namówiła ją, by przeniosła się do miasta wojewódzkiego i zamieszkała z całą rodziną. Przyjaciele odradzali, ale ona się nie wahała. Uważała, że miłość do córki i trojga wnucząt i wzajemne uczucie, o którym nie wątpiła, pozwolą przejść do porządku dziennego nad innymi problemami wspólnego dachu.

Okazało się jednak, że to nie takie łatwe. W nowym miejscu zamieszkania babcia nie daje lekcji prywatnych, gdyż nie ma na nie chętnych, konkurencja jest zbyt duża. Emerytura w całości przekazuje do wspólnej kasy domowej, którą zarządza córka z wyraźną preferencją dla wydatków dzieci, może i własnych. Babcia ma wprawdzie własny pokój, ale najczęściej tylko w nim śpi, ponieważ w dzień ko- rzystają z niego dzieci, które na zmianę chodzą do szkoły i na zmianę muszą mieć spokój przy odrabianiu lekcji.

Na tym nie kończą się przykrości współżycia. Babcia obiecywała sobie sołenne, że nie będzie się mieszać do wychowania wnucząt, ale

Dokończenie na str. 2

W pętach kompleksów

„SALTO”. — Film produkcji polskiej. Scenariusz i reżyseria: Tadeusz Konwicki. Zdjęcia: Kurt Weber. Muzyka: Wojciech Kilar. Wykonawcy: Zbigniew Cybulski (Kowalski — Malinowski), Gustaw Holoubek (gospodarz), Marta Lipińska (jego córka Helena), Irena Laszkowska (wózka Cecylia), Wojciech Siemion (artysta), Włodzimierz Boruński („Blumenfeld”), Andrzej Łapicki (pijak Pietuch), Jerzy Block (stary), Zdzisław Maklakiewicz (rotmistrz), Iga Cembrzyńska (żona Kowalskiego) i inni.

Związki z przeszłością, zwłaszcza z wydarzeniami ostatniej wojny, wpływ tych związków na życie ludzi — to temat ciałe żywy zarówno w literaturze jak i filmie, i to nie tylko w krajach tak srogo doświadczonych wojną jak Polska. Niektórzy twórcy mają wręcz obsesję tego tematu, nie potrafili niemalże nic innego stworzyć, sięgnąć do innego kręgu spraw. Do takich należy Konwicki, znakomity pisarz i scenarzysta filmowy, a ostatnio także i reżyser („Ostatni dzień lata”, „Zaduszki”). „Salto” jest trzecim filmem przez niego pomyślanym (scenariusz) i zrealizowanym (reżyseria). We wszystkich trzech — obsesja wojny i okupacji, obsesja psychicznych obciążeń, jakie leżały na ludziach w wyniku przejścia przez piekło — jest oczywista, widoczna dla każdego.

Bohaterowie Konwickiego są ludźmi porażonymi kompleksami zrodzonymi przez wojnę, ludźmi, którzy nie mogą się z pęt tych kompleksów wyzwolić i są — oczywiście — głęboko nieszczęśliwi. Strach jest uczuciem, które założyło w nich na stałe, przeto ciążą przed kimś uciekają, czegoś się lekają, popłoch wywołuje może w nich cień na ścianie, zgaszenie światła, jakiś blach dźwięk czy cokolwiek innego, co normalnie jest bez znaczenia, czego się po prostu nie dostrzega. Ale u tych spełnionych wspomnieniami ludzi wszyst-

ko budzi skojarzenia, wszystko rodzi analogie z przeszłością i nie pozwala normalnie żyć. Najgorsze są u tych ludzi ich sny. W snach wstępują z grobów zabici i zaginioni, jawia się także przesładowcy z trupia czaszka na kołnierzu munduru, a wszyscy oni zdeformowani, jak gdyby ocaleni w krzywym zwierciadle, a przez to jeszcze straszniejsi.

„Salto” ogląda się jak taki straszny sen. Ci nienormalni ludzie, te kompleksy nie do wyleczenia, ten język biblijny, którym mówią niemal wszyscy, te sytuacje, trudne do wyobrażenia w normalnym świecie. I tylko jako sen daje się oglądać. Wydaje się, że Konwicki tym razem poszedł za daleko w uduwnianiu świata, że zdeformował bohaterów filmu tak dalece, iż stają się po prostu niezrozumiali, a więc nudni. Nie można przyjąć tego filmu jako dzieła, które się w realnej rzeczywistości, bowiem wówczas trzeba by wykazać szereg oczywistych uchybień, jak nie wiadomo z czego wynikające cudowne uzdrowienie dzieci, jak kilkakrotnie ukazująca grupa dziewcząt kąpiących się nago w rzecze, co jak wiadomo, nie należy do powszechnie przyjętego obyczaju mieszkańców naszych małych miasteczek, jak wspomniany fakt posługiwania się przez wszystkich językiem biblijnym itd. itp. To jest senny majak, to są bredzenia schorowanej wyobraźni, to jest szalony taniec ludzi porażonych przeszłością. Ale to jest jednocześnie film, który z trudem tylko daje się oglądać, film, któremu nie można wrzucić powodzenia i chyba nie jest to taki film, jaki byśmy chcieli widzieć jako wzór dla innych twórców.

Film jest zrealizowany w dobrej obsadzie aktorskiej, w której najlepiej znalazł się główny bohater — Zbigniew Cybulski, potwierdzający swój talent jak i wszechstronność wyrazu. Niestety, inni (zwłaszcza Holoubek i Łapicki) chyba nie bardzo rozumieli, co mają grać, ich sylwetki są nieprzekonywujące, a oni sami wyglądają jak gdyby się bardzo męczyli swoimi rolami (nie ma się zresztą czemu dziwić). Film Konwickiego trzeba przyjąć jako nowy, ciekawy eksperyment. A eksperymenty są potrzebne ponoć, aby popychać naprzód rozwój kinematografii...

FILM

W rodzinie trzypokoleniowej

Dokończenie ze str. 1

nie zawsze udaje się jej zapanować nad pedagogiczną pasją. Sama się potem dziwi, że jedna jej uwaga w bląhej sprawie przeradza się w ogólnorodzinny konflikt, gdzie wszyscy kłócą się ze wszystkimi, „a babcia zaczęła”. — Dobrze byłoby choć na kilka dni gdzieś wyjechać i przeczekać burzę — pisze do redakcji — ale nie mam gdzie, bo spaliłam za sobą mosty. — Nie tłumacz bliżej, jakie mosty spaliła, lecz wydaje się, że chodzi o dawnych przyjaciół, którzy tak usilnie odradzali połączenia dwóch domów. Babcia nie chce się z nimi widzieć, gdyż nie chce się przysnąć do niepewności wspólnego życia — a te zerwane nici dodatkowo ciąży na jej samopoczuciu.

Wszystko, co przytoczyliśmy z listu starej nauczycielki, powinno prowadzić do konkluzji, że żałuje ona nieprzemysłowej, opartej tylko na uczuciu decyzji. Okazuje się że... nie. Babcia kończy słowami: „Chciałam się przed kimś wyzalić i udało

mi się znaleźć dyskretnego powiernika, Waszą Redakcję. Po tym, co napisałam, zapewne sądzicie, że gdybym mogła, w jednej chwili wróciłabym do poprzedniego życia. Otóż mylicie się. Dopiero mieszkając z córką i wnuczkami przekonałam się, jaka pustka uczuciowa otaczała mnie przez wszystkie minione lata. Co znaczą drobne nieporozumienia między kochającymi się ludźmi? Czy mogą przeważać szale radości z codziennego obcowania z tymi, których kocha się ponad wszystko i jedynie w świecie?”

Chcielibyśmy, żeby list babci trafił do rąk socjologów zajętych badaniem trzypokoleniowej rodziny. Żeby spojrzeli na jej problemy nie tylko poprzez pryzmat, stołówek i elastyczne skarpetki, których nie trzeba cerować. Żeby widzieli w niej również ognisko uczuć, które — jeśli spełnia się choć elementarne warunki kultury współżycia — będzie nadal trwała więź wielkiej rodzinnej wspólnoty.

IRENA FRĄCKOWIAKOWA

Więc istnieje?

W kinie „Udarnik”, jak w każdym większym moskiewskim kinie, w poczekalni odbywają się koncerty estradowe, wypełniając widom czas, jaki ich dzieli od rozpoczęcia filmu. Tego dnia nagle się ociepliło, kalendarz już od tygodnia wskazywał wiosnę i wielkie płyty śniegu, opadając na chodnik, tajały natychmiast, jak przy dotknięciu gorącego policzka. Porywisty wiatr zaklejał oczy, skarpety nasiąkały wodą, nie pomagały kalosze, lśniące czarnym lakierem na walonkach przechodniów. Wcześniej więc niż zazwyczaj, zebrał się w poczekalni kina tłumek ludzi, szukając tutaj schronienia przed dokuczliwością pogody.

Gwar rozmów przypominał zatłoczoną kawiarnię. Podobnie, jak i w kawiarni — zbywano zdawkowymi brawami występujących na estradzie żonglerów i aktora, recytującego fragment patriotycznej powieści. Nawet orkiestra, grająca skoczne rytmy kozackie, nie potrafiła zagłuszyć głośniejszych powtań, jakichś sporów, wybuchów śmiechu. Wtedy właśnie na podwyższeniu — pojawiła się szczipa figurka śpiewaczki. Poprzez szum rozmów, zaczęła się przebiegać liryczna melodia o długich, dość jednostajnych frazach.

Najpierw umilkli ci, znajdujący się najbliżej estrady. Potem urwały się rozmowy w dalszych rzędach, sykało na widzów, którzy szurali zbyt głośno krzesłami, odwracając się ku przodowi, aby lepiej słyszeć piosenkę. Nic nadzwyczajnego, ba-

na, jak wszystkie wyznania miłosne, przybrane w rymy, róże i księżycy.

Ale było coś takiego w śpiewie tej dziewczyny, że słowa nieoczekiwanie nabierały innego wymiaru, każdy odczuwał, że słyszy coś niepowtarzalnego, prawdę, jakiej wielu próżno szuka, a wielu nigdy już nie znajduje, rudawy wyrostek, który trzymał papierosa w rękawie i wydychał dym w podniesiony wysoko pod brodę szal, nawet nie zaklął, gdy rozszarzony popiół oparzył go boleśnie w przegub, starszek ostrzyżony na jeża, położył delikatnie rękę na pomarszczonej dłoni swojej sąsiadki, może przypomniał sobie chwilę, kiedy przed wielu latami powiedział pierwszy raz, że ją kocha, a był to już świt po spacerowanej wspólnie nocy, stali zziębnięci przed bramą jej kamienicy, nie chciała wracać do domu — gdzie czekała na nią zagniewani rodzice, wiedział o tym i dlatego powiedział wtedy, że ją kocha, żeby nie czuła się potem samotna; chuda studentka w drucianych okularach przytuliła się do swojego kolegi, a on, nie krępując się obecnością innych, objął ją, oparł się o futrynę drzwi do sali kinowej, opodal których stali i pocałował ją prosto w usta, zamiast wulgarnych przymrzeń oczu i wymownych gestów, w jakich zawsze w podobnej sytuacji prześcigują się przypadkowi świadkowie, para studencka zobaczyła życzliwy uśmiech na twarzach

Eugeniusz Paukszt

Wieści z Wrocławia

Długo godziny w zachwycie prześlęczałem nad tymi foliami, podziwiając naukowe opracowanie językowe, szatę graficzną, technikę drukarską, a wreszcie wyczuwając się we wspaniałym, jedynym języku staropolskiego tekstu, niesłychanie czytelnie oddanego w wydaniu fotograficznym. Mowa o wydaniu przez „Ossolineum” w ramach Biblioteki Pisarzy Polskich sławnej „Postylli” Mikołaja Reja. Opracowanie całości podjęli Konrad Górski i Władysław Kuraszkiewicz, poszczególne partie opracowały Irena Roskowska, Leokadia Zdanciewiczowa i Zofia Zierhofferowa oraz Jadwiga Klimaszewska.

Redaktorem naczelnym i naukowym jest Maria Renata Mayenowa. O cóż chodzi, zapyta ktoś? Przecież to praca specjalistyczna, ślad i nakład mały (820 egz.) i cena nader wysoka (tomy I—II łącznie 500 zł). Ale przecież znaczenie tej edycji nie na tym polega, by zadowolić specjalistów. To jeszcze jeden dowód przeorywania przez nas zapoznanych odłogów literatury, przedsięwzięcia nad jej dorobkiem pełnych badań, stwarzania warunków studiów językoznawczych nie przez doszukiwanie się unikalnych wydań XVI-wiecznych, ale przez fototypie udostępnienie jej wszystkim zainteresowanym w nieskażonej formie, a zarazem skomercowa-

nej naukowo w sposób najbardziej pełny. Na Międzynarodowych Targach Książki zakupiły zagraniczne firmy dużo egzemplarzy tej pozycji, doceniając jej wagę. Czytelnicy zaś nie niejszej rubryki, jeśli nawet nie obejrza tego rarytasu wydawniczego, niechaj o nim jednakże wiedzą, jest bowiem z czego być dumnym.

Skożo zaś dziś o „Ossolineum” i mniej masowych w odbiorze pozycjach, to zaanonsować chciałbym ukazanie się cennej bardzo pracy, powstałej wspólnym wysiłkiem czesko-polskim, mianowicie „Czeskiej bibliografii Adama Mickiewicza 1826—1960”, opracowanej pod redakcją naukową zmarłego niedawno Stefana Vrlle-Wierczyńskiego przez Jana Dutkowskiego i Andrzeja Sieczkowskiego ze strony polskiej, przez Josefa Beckę i Marię Olę Kremlovą ze strony czeskiej. Jako ciekawostkę podaje, iż bibliografia liczy dosłownie 1995 pozycji.

A teraz o słowiańskich pobratymcach z zachodu. W opracowaniu i

tych kilku osób, które zauważyły ich pocałunek...

Śpiewaczka powtarzała refren, że uwierzyć w to trzeba, że umieć kochać, to dar rzadki, jak talent rzeźbiarza, nawet cierpienie jest wtedy szczęściem, odrzucała opadający ku przodowi długi warkocz rozplecionych włosów, barwy spłowiełej słomy. Kiedy na chwilę przerywała śpiew, aby orkiestra mogła powtórzyć motyw melodii, pojawiały się małe dołeczki na jej zaróżowionych policzkach, tuż obok kącików nerwo wo przygryzanych, pięknych warg. Skośne, lecz wielkie i niebieskie oczy wpatrywały się uporczywie gdzieś w salę ponad moją głowę. To nie koncert, ona śpiewa siebie, nie miałam już wątpliwości, że gdzieś tutaj, wśród nas, znajduje się ten, komu ona otwiera siebie.

Piosenka skończyła się, zapanowała cisza, nikt nie zaklaskał, cisza, cisza, naraz zadźwięczał dzwonek i rozsunięto ze zgrzytem drzwi na widownię. Ludzie powoli podnosili się z krzeseł, szli w milczeniu oglądać film o przygodach patrolu, zabłąkanego na pustyni. Zatrzymałem się na progu, żeby popatrzeć jeszcze raz na młodzieńską artystkę...

Kluczyła pomiędzy beładnie postawionymi krzesłami, zbliżając się do jedynej osoby, która pozostała w poczekalni, był to starszy mężczyzna, siedział z opuszczoną na piersi głową.

— Kola, obudź się, Kola, Kola! — zaczęła go szarpać za rękaw.

Tamten, nie otwierając oczu, wybelkotał coś i śpiewaczka rozplakała się, opierając czoło o mocno naciągniętą na jego plecach skórę czarnej kurtki...

przekładzie Józefa Magnuszewskiego ukazał się w ramach „Biblioteki Narodowej” tom pt. „Ludowe pieśni, bajki i podania Łużyczan”. Jest to pierwsza u nas, a tak bardzo potrzebna antologia przybliżająca szerszym kręgom czytelnictwu włąd w tradycję literatury Łużyczan. Wybór jest szeroki, od pieśni liryczno-epickich i lirycznych górno-łużyckich i takich-że dolnołużyckich prowadzi aż po bajki i podania, legendy i przypowieści z Górnych i Dolnych Łużyc. Należy się cieszyć bardzo z tej pozycji: niechże poza sympatią naszą znajomość Łużyc oprze się także o konkrety.

Bardzo obowiązujący, choć nie ironiczny bynajmniej podtytuł dał autor swoim pamiętnikom: „wspomnienia szczęśliwego człowieka”. Myśle tu o Kazimierzu Konarskim, którego tom pt. „Dalekie i bliskie” właśnie ukazał się we wrocławskiej oficynie. Autor, profesor, b. dyrektor Archiwum Akt Dawnych, publicysta i powieściopisarz, snuje tutaj wątki swych wspomnień od schyłku XIX wieku aż po rok 1945. Kawał czasu, a jaka mnogość poruszanych, dobrze znanych spraw, jaka galeria ludzi i ich mistrzowsko nieraz kreślonych portretów.

Z KSIĄŻKA NA TY



DYNAMIKA I PODZIAŁ DOCHODU NARODOWEGO

„Życie Gospodarcze” drukuje obszerny artykuł Mieczysława Kucharskiego pt. „Dynamika i podział dochodu narodowego Polski w latach 1950—1965”. Autor wyróżnia w minionym 15-leciu trzy okresy: pierwszy (lata 1950—53) charakteryzował się niskim tempem przyrostu spożycia, wysoka akumulacja produkcyjna i rozmachem inwestycyjnym; drugi (lata 1954—58) przyniósł dynamiczny przyrost spożycia przy stosunkowo niskim wzroście dynamiki, inwestycji i akumulacji produkcyjnej; trzeci (lata 1959—65) znamionuje wzmocniony wysiłek inwestycyjny przy ograniczonym nierównomiernym wzroście spożycia.

Pisząc następnie o zjawiskach najbardziej aktualnych, autor stwierdza:

„Obserwujemy osłabienie tempa inwestowania (poza rolnictwem) w ostatnich dwóch latach, przy ustalonym przyroście produkcji czystej. Wyniki pierwszych miesięcy bieżącego roku pozwalają nawet oczekiwać, że przyrost produkcji czystej przekroczy założenia planu, a tym samym pozwoli na przekroczenie wskaźnika 7 proc. dla lat 1964—1965. Wskazywałoby to, że zaczynamy wchodzić w okres zbierania efektów wzrostu inwestycji w poprzednich latach (...) Rozwój procesów gospodarczych w ostatnich latach wskazuje więc, że przejście do czwartego okresu, korzystniejszego z punktu widzenia wzrostu spożycia i dochodów realnych ludności nastąpi powoli.”

DROGA DO MIESZKANIA

Znane już decyzje w sprawie zwiększenia udziału spółdzielczości mieszkaniowej w budownictwie mieszkań są przedmiotem rozważań Aleksandra Mieszkańskiego, który w „Polityce” określa je jako „Krok naprzód”. Autor podnosi przy tej okazji inną kwestię, związaną z budownictwem mieszkań. To dobre, że będziemy budować coraz więcej, ale nie można też nie zauważyć takiego zjawiska:

„Budujemy mieszkania niezwykle małe, najmniejsze w świecie, pozbawione wielu elementów wyposażenia powszechnie uznanych za niezbędne, nawet funkcjonalny układ mieszkania podporządkowaliśmy dyktatowi ekonomii (...) Mamy normy projektowania, przewidujące określoną liczbę metrów kwadratowych na osobę, normy kwaterekowe itp., ale kto powie, jaką powierzchnię powinny zajmować ludzkie graty, ile miejsca potrzebuje pani domu na robienie pyz, co jest niezbędne dla prawidłowego zorganizowania życia w domu i czy nasze mieszkania w ogóle na taki luksus pozwalają?”

Tymi sprawami jak dotychczas nikt się nie zajmuje. Autor artykułu proponuje, by utworzyć społeczne towarzystwo kultury mieszkaniowej, które zajęłoby się tymi wszystkimi niełatwymi sprawami.

FINANSE PANI KULTURY

„Kto z kogo żyje” — zastanawia się Jerzy Jesionowski w „Kulturze”, przedstawiając system finansowania kultury w naszym kraju oraz ilościowe i ekonomiczne wyniki działalności najważniejszych branż kultury.

Wydawnictwa książkowe (warto zauważyć corocznego wzrost liczby tytułów: 1962 r. — 5331, 1963 r. — 5545, 1964 r. — 5659) są instytucjami dochodowymi, o czym świadczy fakt, że w ubr. odprowadziły do budżetu państwa sumę 45 mln. zł. Wydawnictwa prasowe przyniosły w ubr. prawie 250 mln. zł zysku. Do teatrów zawodowych dopłaca się rocznie 260 mln. zł, straty (około 10 mln. zł) przynosi także działalność przedsiębiorstw estradowych. Państwo dopłaca także do działalności instytucji muzycznych (filharmonie, orkiestry symfoniczne, opery, operetki, zespoły pieśni i tańca „Śląsk” i „Mazowsze”) — ponad 245 mln. zł. Wpływy ze sprzedaży filmów długometrażowych nie w pełni pokrywają koszty ich produkcji (9 mln. zł), natomiast rentowne jest (zysk 24 mln. zł) produkcja filmów średnio- i krótkometrażowych. Mimo spadku frekwencji dochodowe w ostatecznym rachunku (62 mln. zł) są kina. Państwo pokrywa pełne koszty utrzymania bibliotek, na co przeznaczają się rocznie 334 mln. zł. Działalność domów kultury i świetlic także opiera się na dotacjach państwa (186 mln. zł). Koszty utrzymania muzeów i wydatki na ochronę zabytków wynoszą 444 mln. zł. Znaczące dochody natomiast przynosi działalność radia i telewizji; wpływy z opłat abonamentowych, zyski ze sprzedaży sprzętu odbiorczego oraz inne zyski radia i telewizji przewyższają nakłady na bieżącą działalność tej instytucji aż o 2317 mln. zł.

„Próba sformułowania odpowiedzi na pytanie postawione w tytule — pisze Jerzy Jesionowski — prowadzi do wniosku, że nowoczesne środki przekazu kulturalnego (a przede wszystkim radio i telewizja) pracują na pokrycie niedoborów w działach tradycyjnych. Inaczej być chyba nie może — to, co nowe, silniej przyciąga i pozwala na uzyskiwanie akumulacji, niezbędnej na dotowanie działalności deficytowych z założenia (biblioteki,

ochrona zabytków, popieranie twórczości) bądź z konieczności (teatry i instytucje muzyczne).”

Tygodnik zapowiada kontynuowanie publikacji na temat poruszony w artykule Jesionowskiego.

LATO BEZ WAKACJI

„Zarzewie” publikuje kolejny artykuł w sprawie polepszenia warunków letniego wypoczynku młodzieży na wsi. Janusz Karmański stwierdza, że wieś nasza mimo ogromnych przeobrażeń nie ma właściwie żadnych tradycji organizowania letniego wypoczynku dla młodzieży. O tym zaś, jak to istotna sprawa, świadcza opinie fachowców, którzy jedna z najistotniejszych przyczyn wysokiej liczby drugorocznych w szkołach wielkich upafrui w nadmiernym obciążeniu dzieci pracą w gospodarstwach.

Ponadto: „Prawo i Życie” publikuje artykuł Leona Łustacza pt. „Problemy naszej demokracji”, w którym autor zastanawia się m. in. nad tym, co jest przyczyną niedostatecznego postępu badań naukowych w zakresie takich tematów jak: koncepcja państwa obumierającego, ogólnonarodowy charakter państwa socjalistycznego. „Kierunki” drukują artykuł w związku z listem pasterskim biskupów zachodnoniemieckich „do wypędzonych”, polemizując z wciągnięciem autorytetu Kościoła w politykę wymierzoną w pokój i bezpieczeństwo świata. W artykule „Kto sieje nienawiść” Maciej Wrzeszcz pisze m. in., że „pomiędzy niesieniem duchowej pomocy a podsycaaniem odwrotu roszczeń i w imię tego fałszowaniem prawdy historycznej istnieje zasadnicza granica”. Na temat listu biskupów w NRF artykuł zamieścił również „Tygodnik Powszechny”. I jeszcze aktualność ze „Szpilek” — podpis pod rysunkiem Jerzego Zaruby: — Obywatelu przewodniczącym 15 maja minął termin gotowości do sezonu turystycznego — Minał? To chwala Bogu!

LEKTOR